

Jan Krempa

Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki

Moje relacje z Uniwersytetem Warszawskim

Matura i praca

Urodziłem się w 1940 roku we wsi Wola Mielecka (woj. podkarpackie). Ojciec w wieku 7 lat został najstarszym mężczyzną w rodzinie. Nie chodził więc do szkoły, tylko zajmował się gospodarstwem. Jedynie jako młodzieniec uczył się przez kilka miesięcy na Uniwersytecie Ludowym w Gaci koło Przeworska. Rodzice mieli małe gospodarstwo rolne, które nie gwarantowało utrzymania rodziny. Ojciec dorabiał więc na różne sposoby.

Ja, odkąd pamiętam, bardzo słabo widziałem. Ojciec uzgodnił jednak z nauczycielkami, że będę chodził do szkoły i uczył się bez konieczności pisania. Udało się tym paniom wcześniej nawiązać kontakt z Zakładem dla Niewidomych w Laskach i tam zgłosiły moje istnienie. Przekonany przez ojca, że szkoła to moja szansa na normalne życie, dałem się w 1946 roku zawieźć do Lasek i tam zostawić. Moim wyposażeniem „naukowym” była dobra, jak na mój wiek, umiejętność liczenia. Odmówiłem pójścia do przedszkola. Z dużymi oporami przyjęto mnie do pierwszej klasy. Utrzymałem się w niej. W internacie miałem duże problemy ze skokiem kulturowym i cywilizacyjnym, ale za to spotkałem całkowicie niewidomych i moje problemy życiowe zaczęły mi się wydawać mniejsze. Mogłem nawet być użyteczny dla kolegów. Od samego początku nauki pisałem i czytałem tylko w systemie Braille’a. Latem posłem domowe krowy.

Pod koniec szkoły podstawowej należało podjąć decyzję co do przyszłości. Domowe próby koszenia i młócenia przekonały mnie ostatecznie, że muszę iść „do miasta”. Ze względu na trudną sytuację materialną i lokalową w domu, zdecydowałem się zostać w Laskach w szkole za-

wodowej i uczyłem się tkactwa ręcznego. W grupie koleżanek i kolegów kierowanej przez pracownika Lasek, Henryka Łuszczycy, wziąłem udział w tworzeniu spółdzielni dla niewidomych w ramach Krajowego Związku CPLiA. Udało się to nam w 1956 roku. Zamieszkaliśmy w hotelu robotniczym, który był częścią mieszkania w kamienicy czynszowej w centrum Warszawy.

Po ustabilizowaniu sytuacji z pracą postanowiliśmy w kilka osób pójść do szkoły średniej. Zdaliśmy egzaminy wraz z poprawkowiczami do klasy dziesiątej w Pierwszym Liceum Korespondencyjnym w Warszawie. Maturę zdaliśmy wszyscy w 1959 roku, bez problemów.

Pierwsze kontakty z UW

Jeszcze przed maturą skończyłem 18 lat i zacząłem już legalnie pełnić różne funkcje w spółdzielni. Jednak rysujący się awans tą drogą nie pociągał mnie. Z drugiej strony, uświadomiłem sobie, że nie starczy mi sił na wieloletnią pracę fizyczną i mój zawód traci na znaczeniu. Rozważałem więc możliwość studiowania historii albo matematyki. Zacząłem odkładać fundusze na ten cel, a w 1962 roku postanowiłem, że zmierzę się ze studiami dziennymi z matematyki, żeby w razie sukcesu mieć większe szanse na pracę po tych studiach. Przez rok przygotowywałem się używając dostępnych wtedy w wersji brajlowskiej podręczników szkolnych z matematyki i fizyki. Z językiem rosyjskim praktycznie nie miałem do czynienia, ale się tym nie przejąłem. Wiosną 1963 roku złożyłem papiery na Wydział Matematyki i Fizyki UW, na matematykę. Sforsowałem, choć z trudnościami, badanie lekarskie. Spotkałem się z przedstawicielem Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej. Uzgodniłem z nim sposób zdawania egzaminów pisemnych. Nie dałem się przy tym zachęcić do kandydowania na studia dla pracujących.

Egzamin pisemny z matematyki zdałem słabo, chociaż po powrocie do hotelu umiałem zrobić wszystkie zadania. Trema mnie zjadła. W trakcie egzaminu pisemnego z rosyjskiego, zgodnie współpracując z obsługującą ten egzamin przedstawicielką Studium Języków Obcych UW, napisałem „po swojemu”, co trzeba, ale pani zaraz musiała biec w inne miejsce. Zabrała moją pracę i umówiła się ze mną w dobrze sprezygowanym terminie w Studium. Przyszedłem o oznaczonej porze, ale pani nie znalazłem i nawet nie mogłem się dowiedzieć, kiedy będzie. Poprosiłem więc o wizytę u dyrektora Studium. Okazało się, na moje szczęście, że akurat był na miejscu i zgodził się mnie przyjąć. Po zamknięciu

się drzwi od sekretariatu zaczął rozmawiać ze mną po rosyjsku. Pozwalał odpowiadać wolno, co bardzo mi sprzyjało. Po zakończeniu rozmowy napisał coś i w zaklejonej przez sekretarkę kopercie kazał mi zanieść do Dziekanatu Matematyki. Poinformował mnie też, że nie muszę już szukać stosownej pani. W dniu wyznaczonym dla mnie na egzaminy ustne poszedłem rano i zastałem przed drzwiami spory tłumek, a – jako że nie lubię długiego czekania „na giełdzie” – skorzystałem więc z najbliższej okazji, żeby wejść i zdawać fizykę. Poszło mi dobrze. Pamiętając o tłumku przed drzwiami, zadeklarowałem, że chcę od razu zdawać matematykę. Dostałem więc tematy do przygotowania. Jeden okazał się dla mnie szczególnie trudny. Po długim przygotowaniu opanowałem jakoś sytuację. Po egzaminie czułem, że zrehabilitowałem się po wpadce na pisemnym. Na ostateczną decyzję o przyjęciu musiałem, jak wszyscy, poczekać jakiś czas. Po jej otrzymaniu zwolniłem się z pracy i zacząłem przygotowania do studiów. Dużym problemem było znalezienie lektorów gotowych (ewentualnie za skromne profity) czytać mi podręczniki, których istnienia się spodziewałem.

Studia

Pierwszego października 1963 roku rozpocząłem studia. Wymagało to uporządkowania pewnych spraw organizacyjnych. Przedstawiciel Studium WF chciał mnie posłać na naukę pływania, ale nie dostał przydziału dostatecznej liczby godzin na pływalni, więc musiał je przydzielić zawodnikom AZS-u. Przez dwa miesiące chodziłem więc na gimnastykę, jednak instruktor zarządzał granie w koszykówkę. Spróbowałem, ale to nie miało sensu. Poprosiłem więc stosownego lekarza na UW o zwolnienie z WF.

Miałem sprzed studiów całkowite zwolnienie od obowiązków związanych z obronnością. Jednak, wbrew prawu, nie dostałem odpowiedniego wpisu do indeksu i musiałem zaliczać szkolenie z samoobrony.

Ze względu na sytuację materialną rodziny otrzymałem stypendium i zniżkowe kartki na posiłki z przydziałem na ul. Sewerynow. Nie miałem problemu z „oswojeniem” tego miejsca i okolicy, ponieważ do 1962 roku jadałem tam obiady w ogólnodostępnej jadłodajni u sióstr zakonnych, którym latem 1962 roku skonfiskowano ten lokal i przeznaczono go na stołówkę studencką UW.

Zgodnie z moimi przewidywaniami musiałem dopłacać do utrzymania na studiach. Sporym wydatkiem było bardzo małe, ale samodzielne

mieszkanie spółdzielcze, kupione przed studiami. Ponieważ było ono poza centrum Warszawy, a mój magnetofon ważył 20 kg, więc miałem spore kłopoty techniczne i organizacyjne we współpracy z lektorami. Za to miałem ciszę przydatną do samodzielnej nauki.

Wykłady na latach początkowych nasz rocznik miał na Krakowskim Przedmieściu. Trzeba było przychodzić wcześniej, żeby mieć dobre miejsce, bo wyposażenie techniczne auli wykładowej było skąpe. Za to wykładowcy mówili kompetentnie i ładnie po polsku o matematyce. Trafiłem jednak też na skandaliczny wyjątek, na szczęście nie na pierwszym roku. Lektorat z rosyjskiego dawał szansę nauczenia się czegoś, lektorat z niemieckiego dostarczał mi głównie wiedzy o filmach Felliniego, które wtedy były modne.

Ćwiczenia mieliśmy w Pałacu Kultury i Nauki, na dziewiątym piętrze i w jego okolicach. Trzeba więc było sporo biegać po mieście, a i na terenie Pałacu warunki były trudne.

W grupie ćwiczeniowej byli prawie sami maturzyści z 1963 roku. Początkowo byłem więc „obcy”, ponieważ nie bałem się mówić asyntenom, czego nie rozumiem, chodziłem na konsultacje i innych też zachęcałem do korzystania z tej formy zdobywania wiadomości. Korzystając z pomocy swoich lektorów i konsultacji, starałem się zachować niezależność od reszty grupy w uczeniu się.

W trakcie nauki ujawniała się powierzchowność i skromność mojej wiedzy matematycznej. Około grudnia byłem więc bliski rezygnacji ze studiów, ale sprawdziany wskazywały, że nie jestem najslabszy w grupie. Dopiero pod koniec semestru uświadomiłem sobie pewne różnice pomiędzy szkolnym i akademickim podejściem do matematyki i do podręczników. Pierwszy semestr zaliczyłem i zdałem wszystko, co trzeba. W grupie moja pozycja wzrosła. Zacząłem więc organizować małe grupki do wspólnej nauki, w których nie byłem traktowany jako petent, ale raczej jako lider, któremu brakuje tylko pewnych umiejętności technicznych. Na starszych latach ten system nauki starałem się kontynuować. Chętnie też włączałem się do takich zespołów skupianych przez innych studentów.

Po drugim roku należało wybrać specjalność. Wcześniej zacząłem więc rozmawiać o tej sprawie ze studentami i pracownikami obecnej informatyki. Wyglądało na to, że jest w tej dziedzinie sporo działań zespołowych, w których członek zespołu o nastawieniu matematycznym będzie potrzebny. To dawało widoki na przyszłą pracę. Zadeklarowałem

więc chęć pójścia na stosowną sekcję. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, dyrekcja Instytutu Matematyki zdecydowanie zasugerowała mi specjalność teoretyczną i na czas studiów zaoferowała stypendium naukowe. Obiecała też, że w przypadku dobrych wyników wesprze moje starania o sensowną pracę po studiach. Dałem się „kupić”. Musiałem jednak od tego momentu dbać o utrzymanie wysokiej średniej ocen z egzaminów. Raz nawet poprawiałem egzamin, który kiepsko zdałem przy pierwszym podejściu.

Jako specjalność szczegółową wybrałem algebrę. Zgłosiłem się więc do prof. Andrzeja Mostowskiego, który kierował Katedrą Algebry i Teorii Liczb. On skierował mnie do pracującego w Katedrze doc. dr. hab. Adama Sulińskiego, pod którego opieką napisałem w 1968 roku pracę magisterską. Profesor Mostowski uznał, że zamiast asystentury na UW lepsze będą dla mnie studia doktoranckie. Ponieważ w tym roku UW, a przynajmniej Wydział, miał zakaz prowadzenia studiów doktoranckich, więc prof. Mostowski zarekomendował mnie w Instytucie Matematycznym PAN, w którym, choć z pewnym opóźnieniem, wznowiono takie studia. Zobowiązałem się za to do powrotu po tych studiach na UW, ponieważ pan Mostowski widział duże potrzeby dydaktyczne w zakresie algebry UW.

Zgodnie z obowiązującymi wtedy terminami złożyłem w 1971 roku rozprawę doktorską, napisaną pod kierunkiem doc. dr. Adama Sulińskiego i obroniłem ją w Instytucie Matematycznym PAN. Przez cały okres studiów doktoranckich pozostawałem faktycznie na UW, gdzie się doksztalałem i uczestniczyłem w seminarium badawczym z algebry, prowadzonym przez pana Sulińskiego. Byłem zaangażowany w przygotowywanie i przebieg tego seminarium. Pomagałem też w prowadzeniu zajęć monograficznych i w opiece nad pracami dyplomowymi.

Praca na UW

Jesienią 1971 roku miałem propozycję pozostania w IM PAN, przy nieznacznym skorygowaniu specjalności. Jednak, zgodnie z podjętym zobowiązaniem, pierwszego października rozpocząłem pracę w Instytucie Matematyki UW, początkowo jako starszy asystent, ponieważ mój dyplom doktorski musiał kilka miesięcy czekać na podpis sekretarza naukowego PAN. Zespół współpracowników na UW znałem dobrze już z okresu studiów doktoranckich. Jako pracownik próbowałem czasem pewnymi sugestiami wpływać na decyzje pana Sulińskiego, zwłaszcza w sprawach związanych z rozwojem zespołu. Skutki bywały różne.

W trakcie reorganizacji na początku lat siedemdziesiątych nasz zespół stał się Zakładem Algebry i Teorii Liczb, kierowanym przez pana Sulińskiego. Profesor Mostowski został kierownikiem innego zakładu. Współpracowałem z nim jednak nadal, wiele się przy tym od niego ucząc, w tym recenzowania prac do publikacji i podobnych tekstów. Niestety, w 1975 roku profesor Mostowski zmarł nagle. Tę śmierć odczułem jako wielką stratę. W 1979 roku zrobiłem habilitację na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW. Sytuację psychiczną ułatwił mi fakt, że już od kilku lat byłem wtedy przedstawicielem niehabilitowanych pracowników w Radzie Wydziału i z tego tytułu byłem świadkiem kilku habilitacji. Otrzymanie stanowiska docenta nie było w tym czasie łatwe. Do tego w 1980 roku zaczęły się wydarzenia niesprzyjające załatwianiu tego rodzaju lokalnych spraw. Jednak podjęte w tym czasie próby demokratyzacji UW spowodowały, że przeprowadzono w Instytucie Matematyki głosowanie w sprawie wyboru kierowników zakładów. Nie prowadziłem żadnej kampanii wyborczej, ale zostałem chciany kandydatem na kierownika Zakładu. Wola zespołu została uszanowana i powołano mnie na to stanowisko.

Współpracownicy przez 30 lat nie wybierali innego kierownika. Pan Suliński był zapewne zaskoczony takim rozwojem sytuacji, ale pogodził się z nią. Ja zaś starałem się zachować szacunek dla starszego kolegi.

Przed habilitacją nieoficjalnie, a później już oficjalnie zacząłem opiekować się doktoratami w Zakładzie i pomagać (a przynajmniej nie przeszkadzać) w robieniu habilitacji. Jako kierownik Zakładu starałem się nadal rozszerzać i aktualizować problematykę badawczą zespołu i rozwijać współpracę z zagranicą.

W 1990 roku nadano mi tytuł profesora. Z czasem rola kierownika zakładu była, przynajmniej w Instytucie Matematyki, minimalizowana. Doszło do tego, że obecnie więcej niż połowa pracowników Instytutu nie jest w żadnym zakładzie. Próbowałem wraz z innymi pracownikami nie dopuścić do takiej destrukcji organizacyjnej, ale okazaliśmy się mniejszością. System grantowy również nam nie sprzyjał. Starałem się jednak nadal wspierać rozwój młodszych pracowników, niezależnie od ich przynależności zakładowej.

Po 1989 roku wprowadzono też na wydziale MIM inne, czasem dziwne zmiany organizacyjne. Ja, ze swoim spółdzielczym doświadczeniem, nie mogłem niektórych z nich zrozumieć i nie ukrywałem tego. Również moje nadzieje na rzeczywistą demokratyzację UW nie spełniły

się. Nadal zbyt wiele jest sytuacji, w których organy kolegialne są zdominowane, zgodnie z regułami, przez bezpośrednich przełożonych.

Kierunek reform przeprowadzanych w czasie mojej działalności na UW ilustruje, moim zdaniem, porównanie rozmiarów dziekanatu z 1963 roku i obecnego. Nie sędzę, żeby nasz Wydział był wyjątkowy pod tym względem.

Kilkanaście lat temu powołano Pełnomocnika Rektora do Spraw Osób Niepełnosprawnych. W sprawach związanych ze sprzętem rehabilitacyjnym musiałem więc zacząć, zamiast z władzami Wydziału, współpracować z Pełnomocnikiem, bo to on przejął dysponowanie środkami na takie cele.

Wiosną 2011 roku zostałem emerytem. Nadal jednak biorę czynny udział w seminarium z algebry, prowadzonym przez mojego byłego doktoranta, a obecnie profesora z tytułem. Biorę też udział w badaniach naukowych. W działalności dydaktycznej uczestniczę głównie jako konsultant.

Szkoda, że w stosunku do emerytów pojawiają się nietakty. Dla przykładu: już pierwszego dnia po przejściu na emeryturę zostałem, bez uprzedzenia, usunięty z centralnego rejestru pracowników. To zablokowało mi dostęp nie tylko do możliwości zaliczania studentom i doktorantom zajęć, które wtedy jeszcze miałem, ale i dostęp do drukarek na terenie Wydziału. Winą za takie incydenty obciąża się co prawda automat, ale to jednak człowiek wpisuje mu reguły funkcjonowania. Również mój dostęp do środków wspierających badania został, zgodnie z przepisami, praktycznie zablokowany. Władze Wydziału pozostawiły mi jednakże dostęp do infrastruktury. Pełnomocnik do Spraw Osób Niepełnosprawnych zachował się też przyzwoicie i mogę nadal korzystać z uniwersyteckiego powiększalnika telewizyjnego.

Zakończenie

To, co w tym tekście napisałem, dowodzi, że i przed nastaniem Pełnomocnika Uniwersytet i jego pracownicy zawsze życzliwie traktowali osoby niepełnosprawne. Trzeba było jednak zachowywać czujność i czasem zasugerować im jakieś rozwiązanie powstałego problemu. Z drugiej strony, niewymuszanie przez niepełnosprawnych ulg i formalnych przywilejów dobrze wpływa na ich współpracę z innymi osobami na UW.